

GŁOS MIŚSI WEWNĘTRZNE

Rok II.

Kwiecień

Nr. 4.

Cena
30 gr



„W tym znaku zwyciężysz”

Treść.

Żniwny czas	97
Dawniej a dziś	100
Bądź człowiekiem	102
Pójdźmy za Nim	103
Skowronek	108
„Trzeciego dnia Zmartwychwstał“	109
Staś — Apostołem Misji Wewnętrznej	114
Na pięknych drogach propagandy za „Głosem Misji Wewnętrznej“	118
Spowiedź w wagonie	120
Czy przyjdą?	125
Czy choroba to tylko — nieszczęście — ?	126
Odpowiedzi redakcji	okładka 2
Ważne dla wszystkich	okładka 2
O czym mówiono na kursach Misji Wewnętrznej?	okładka 3
Nieco ze świata	okładka 3

Odpowiedzi redakcji.

1. Czy należy odmawiać modlitwę Misji Wewn. za raz obranego grzesznika aż do jego nawrócenia, czy też można wybrać inną duszę, którą się chce do Boga przywrócić, a która w danej chwili bardziej potrzebuje naszej modlitwy, czy to z powodu nagłego zachorowania, czy podeszłego wieku lub t. p.? Odpow.: W tym wypadku bardziej potrzebuje naszej modlitwy chory. Dobrze jednak byłoby nie zapomnieć i o tym pierwszym grzeszniku i o ile czas pozwoli, odmówić modlitwę i za jednego i drugiego.

2. Między odpustami Misji Wewn. wymieniony jest „odpust 300 dni za spełnienie jakiegokolwiek dobrego uczynku w myśl celów Misji Wewn.“ Jakie to mogą być uczynki? Odpow.: Odpust ten przywiązany jest do wszystkich uczynków miłosierdzia tak co do duszy jak i do ciała. Trzeba oczywiście ofiarować ten uczynek na intencję Misji Wewn.

3. Jaka istnieje literatura o Misji Wewn., która mogłaby służyć jako materiał do opracowania referatu na zebraniu Kongregacji Marjańskiej? Odpow.: Wszelki materiał dotyczący Misji Wewn. zawarty jest w broszurkach „Biblioteki Misji Wewn.“ Zwłaszcza polecamy Nr. 3 p. t. „Apostolstwo w Misji Wewnętrznej“ (cena 1 egz. 30 gr, wysyła na zamówienie: Sekretarjat Akcji Katol. i Misji Wewn., Katowice, ul. M. Piłsudskiego 20). A może Kongregacja zamówi większą ilość broszurki tej dla swych członków, otrzyma wtedy rabat 5 gr od 1 egz.

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

Wszystkie Stowarzyszenia kościelne i inne mogą zamówić w Sekretarjacie Rekolekcyjnym — Katowice, ul. Piłsudskiego 20 bezpłatnie pocztówki dla zgłoszenia się na rekolekcje zamknięte. Przy wysyłaniu zgłoszenia nalepia się znaczek za 5 groszy.

WAŻNE DLA WSZYSTKICH!

Najbliższe kursy rekolekcyj zamkniętych w Kokoszycach odbędą się dla:

Matek Chrześcijańskich od 1—5 kwietnia

Inteligencji i Sodalicii Panów od 11—15 kwietnia

Urzedn. i Sodalicii Urzedniczek od 15—18 kwietnia.

Żniwny czas.

Jeszcze nie lato, a jednak nadszedł czas żniwa — żniwa dusz.

Każda wielka praca ma chwile przypyływu i odpływu, wielkiego napięcia wszystkich sił i godziny odpoczynku. Apostolska praca Misji Wewnętrznej około dusz zachwianych i zagrożonych nie ustaje nigdy, ale w roku kościelnym przychodzi dla niej okres, w którym misjonarze wewnętrzni wszelkich dożyć muszą sił, aby do gumien Chrystusowych pozierać rozrzucone i pogubione kłosy, pomagając Kościołowi przy żniwach wielkanocnej spowiedzi i Komunii św., by żadna dusza, żadne ziarno, nie zginęło dla Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Tygodnie postu wielkiego, w których obchodzimy z powagą i najgłębszą czcią pamięć męki i ofiary Chrystusowej, cały czas obejmująca, uroczystość Zmartwychwstania Zbawiciela, ustanowienia Najświętszego Sakramentu, Zesłania Ducha św., naznaczył Kościół św. jako czas, w którym wszyscy katolicy złożyć mają publiczne, jawne wyznanie wiary i dokonać najświętszego aktu religijnego życia przystępując do spowiedzi i Komunii św. wielkanocnej.

Katolik jest członkiem Kościoła, którego głową i sercem jest Chrystus. Nie można być prawdziwym katolikiem bez Komunii św., albowiem Chrystus Pan sam powiedział: „Jeśli byście nie jedli Ciała Syna Człowieczego i nie pili Krwi Jego, nie będziecie mieć żywota w sobie.“ (Jan. VI, 54.) Niema chrześcijanina bez wspólności z Chrystusem, niema wspólności z Chrystusem bez Komunii św.

Kościół św., któremu Chrystus Pan zlecił kierownictwo dusz na ziemi, Chrystusową wolę określił szczegółowo w czwartym przykazaniu kościelnym, które, obowiązując każdego katolika do spowiedzi i Komunii św. conajmniej raz w roku w czasie wielkanocnym, stawia katolikowi najniższą granicę współżycia z Chrystusem. Kto tego najmniejszego obowiązku nie dopełni, sam pozbawia się współżycia z Chrystusem, grzeszy ciężko i zrywa łączność swoją z Kościołem i Chrystusem.

„Nauczajcie wszystkie narody!“ (Mat. XXVIII, 19.) „Kto was słucha, mnie słucha, a kto wami gardzi, mną gardzi“ (Łuk. X, 16) powiedział Chrystus Pan Kościołowi i dodał: „Jeśli by Kościoła

nie słuchał niech ci będzie jako poganin i celnik." (Mat. XVIII, 17) czyli: niech będzie wykluczony ze społeczności Chrystusowej tak jakgdyby był poganinem.

Komunja św. jest najświętszym aktem złączenia duszy nieśmiertelnej z Bogiem, chwilą najpotężniejszego dopływu sił i mocy z Krwi Chrystusowej. Komunja św. wielkanocna jest zarazem publicznym wyznaniem wiary i przynależności do Kościoła katolickiego. Dlatego Kościół z taką starannością stwierdza i stwierdzać winien, czy wierni dopełnili tego uroczystego wyznania wiary w Chrystusa i Jego Kościół, czy zaniebdaniem obowiązku wielkanocnego nie przerwali ostatniej nici łączącej ich z Chrystusem i Kościołem.

Albowiem kto nawet tego najmniejszego obowiązku w przepisany czas nie dokonał, kto odtrącił od siebie Chrystusa, czekającego na niego w Najświętszym Sakramencie, kto nie wyznał Chrystusa przed ludźmi, temu i Chrystus powie: „Nie znam was”. Kościół zaś, zaliczając go w poczet odszczepieńców i zaprzańców Chrystusowych, umierającemu bez poprawy, słusznie odnawia pogrzebu na święconym miejscu, przeznaczonym dla tych, co zesli ze świata pozostając w społeczności Chrystusowej.

Jest tedy wielkanocna Komunja św. jawnym wyznaniem wiary katolickiej i zarazem przynależności swej do Kościoła, i dlatego przystępuje się do wielkanocnej Komunii św. uroczystie, jawnie, w swojej parafji i w czasie przez Kościół św. do tego wyznania wiary wyznaczonym, a Kościół akt ten publiczny zapisuje do ksiąg swoich jako obowiązek spełniony przez katolika, jako dowód czynnej przynależności do Kościoła św.

Nadszedł więc ten czas wielkanocny, czas wyznania wiary czynem religijnym. Dla wielu będzie to czas ciężkiej walki wewnętrznej. Olbrzymia większość katolików uroczystie zjednoczy się z Bogiem swoim — nieszczęśliwe wyjątki, opierające się głosowi sumienia, w tym czasie może ponowią grzech odszczepieństwa, zaparcia się Chrystusa, inni może poraz pierwszy tej strasznej dopuszczą się zbrodni.

Czas wielkanocny to jak kryzys w ciężkiej chorobie — kończy się zwyciężeniem choroby albo śmiercią. W tym czasie rozstrzyga się, czy człowiek będzie synem wiernym Chrystusa, czy Judaszem — uczniem czy zaprzańcem, — przyjacielem czy wrogiem Chrystusowym.

A my? Dla nas wszystkich, pragnących duszom torować drogę do Boga, dla nas nadszedł czas wielkiej i wyczerpanej pracy, olbrzymie przed nami żniwo. Tysiące dusz ocalić można przed upadkiem lub obudzić ze śmierci grzechowej do nowego życia Chrystusowego.

Nie będziemy się lenili. Przewyciężając własną nieśmiałość zdobędziemy się na odwagę i nie pominiemy ani jednej

z dusz nam znanych a znajdujących się w niebezpieczeństwie zaniedbania obowiązków wielkanocnych. Sami wpiery pojednamy się z Bogiem i Panem naszym, częstą Komunią św. uświęcać będziemy własne serce. Ofiarowywać będziemy Komunię św. i modlitwy za dusze nam znane i nawet nieznanne, aby dla nich uprosić u Pana Boga łaskę, która utoruje nam drogę do ich serc. A jeżeli do modlitwy dołączysz choćby najdrobniejsze dobrowolne umartwienie, jeżeli trudności życia, przykrości, choroby i cierpienia swoje chętnie ofiarujesz na wyblaganie łaski dla dusz zagrożonych, Bóg Ci swej pomocy nie odmówi. Gdy tak przygotowawszy sobie drogę już osobiście skierujesz się do osób, które pragniesz pozyskać i przyprowadzić do wielkanocnej spowiedzi i Komunii św., łaska Boża skruszy skorupę lodu, która serce wystudza i odgradza od promieni boskiej miłości.

Może przy apostołskiej swej pracy narazisz się na opryskliwe i niegrzeczne uwagi, może Cię szorstko odtrąca i ofukną. I to ofiaruj Panu Bogu, ale nie ustawaj w usiłowaniach swoich, zawsze pełen miłości, pełen dobroci, zawsze pamiętając, że tę duszę nieśmiertelną, o którą się troskasz, Bóg miłosierny tak ukochał jak Twoją i za nią Chrystus Pan tak samo przelał krew swoją jak za Ciebie. Gdy kiedyś sam byłeś w niebezpieczeństwie grzechu i zaparcia się Boga, może i Tobie wówczas modlitwa innych i ich ofiara uprosiły łaski, które sprawiły, że dziś, głęboko odczuwając szczęście połączenia się z Bogiem, pragniesz, by to szczęście stało się udziałem wszystkich bliźnich Twoich, a przede wszystkim tych, którzy oddalili się od Boga.

Wy tedy, przyjaciele i członkowie Misji Wewnętrznej, którym niejedna dusza już zawdzięcza nawrócenie swoje, — w czasie wielkanocnym ze szczególniejszą gorliwością modlitwą, ofiarą i osobistą troską starajcie się przysporzyć Chrystusowi Panu wyznawców wiernych i powiększyć żniwo Kościoła. A wspólną modlitwę Misji Wewnętrznej w miesiącach kwietniu i maju odmawiać będziemy jaknajpobożniej na intencję uproszenia dobrej spowiedzi i Komunii św. tych bliźnich, którzy spowiedź i Komunię św. zaniedbali, lub którym grozi niebezpieczeństwo zaniedbania obowiązków wielkanocnych.

A łaska Boża obficie Wam nagrodzi miłosierdzie, duszom nieśmiertelnym bliźnich Waszych wyświadczone, albowiem Zbawiciel nasz powiedział: „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią” (Mat. V, 7).

† Stanisław Adamski
Biskup Katowicki.

Na Rok Świąty

Marja Czeska-Maczyńska.

Dawniej a dziś.

Pochylił się niegdyś Chrystus nad zmarłą córką Jaira i rzekł:

„Dzieweczka nie umarła, jeno śpi.“

A dziś w Roku Świątym podobnie pochyla się Następca Chrystusa nad ludzkością chorą i mówi:

„Serce w nich nie umarło, jeno śpi.“

Tak, to jest najcięższa choroba ludzkości, prowadząca świat do pogranicza nędzy wszelkiej, że serce człowieka pograżyło się w samolubstwie, coraz mniej w niem miłości i miłosierdzia, coraz mniej zrozumienia nauki Chrystusowej.

Więc jak nam uczcić Rok Świąty...? Niechaj w nas wskrześnie serce... a za tem wskreszeniem serca przyjdzie i błogosławieństwo Boże. Obojętność bowiem paraliżuje wszelką wolę, nienawiść zaślepia a miłość tylko daje jasnowidzenie...

* * *

Bezrobocie, nędza, kryzys...

Było to już wszystko, jeno że serce ludzkie umiało łagodzić niedole.

Spójrzmy...

Zamieć, mróz — a do sieni pani Katarzyny, przezacnej krakowskiej mieszczi, ciśnie się wesoły tłum żaków, wyciągają się garnuszki i miseczki — a jejmość rozlewa barszcz, nakłada po kawałku wędzonego schaba i kapustę zawieszistą z grochem wymieszaną a suto okraszona skwarkami. Nędza jest wśród żaków krakowskich, są to dzieci niedożywione, jak i dzisiaj, ale czyż macierzyńskie serce kobiety nie znalazło prostego i skutecznego rozwiązania? Nie państwo, nie rząd dożywiał dzieci, ale mieszczi i szlachcianki krakowskie. „Gdzie się dla sześciorga gotuje, to się i siódme pożywi“, mówiono wtedy i żywiło się. Żak krakowski miał rumiane policzki i oczy wesołe, nie wyświadczano mu łaski, mówiono mu tylko z uśmiechem — wyjdiesz na ludzi, to ty znowu z kolei innym pomożesz. I ten łańcuch serca usuwał z daru upokorzenie a zobowiązywał do dobroci. Gdy taki chłopczyzna dorósł, to oddawał następnemu pokoleniu tę łyżkę ciepłej strawy, co mu do życia pomogła. Oddał z miłości.

U stołów możnych panów żywili się studenci, po dworach była zawsze moc rezydentów; inwalidzi wojenni, stare, niedołężne ciotki, babunie, po dworkach zawsze się ktoś przy-

godził, co mu chleba było potrzeba. Byli to ówczalni bezrobotni...

Nie było wtedy szpitali tak poprostu wytwornych, jak dzisiaj, nie było przedszkoli, świetlic, ale było... serce ludzkie, żywe, bijące, rozumiejące niedolę, serce, którego dzisiaj niema — i nędzy potrafiło zaradzić.

* * *

Za drzwiami trzęsie się biedak w łachmanach...

— Niech mu da Anielcia dwa grosze.

Pod Politechniką zemdlął student, dano mu kilka bonów na obiady... nikt jednak nie powiedział mu: przyjdź do mnie, zasiądź u mojego stołu, — nikt w nim nie widział brata w Chrystusie... tylko uciążliwego bezrobotnego.

— Zostało mięso z obiadu...

Nie daje się go biednemu, „naniósłby błota, zaraził jaką chorobą, ukradł co“... lepiej wyrzucić do pomyj...

O my jesteśmy tacy higieniczni! Gdy zaproponowałam raz dożywianie dzieci w ten sposób, by przynajmniej trzy razy w tygodniu każda zamożniejsza rodzina dała biedniejszemu dziecku obiad — podniósł się ogólny protest:

— Może przynieść jakąś chorobę! Zarazi mi dzieci!

Mój Boże, a przecież dzieci nasze w szkole siedzą z tym chłopcem w jednej izbie tyle godzin i nie zarażają się jakoś.

Marnują się różne resztki, pleśnieją w spiżarni, wyrzuca się je, pali jak w Ameryce zboża i kawę, zarzyna, jak w Holandji świnki, i wychodzi się z założenia zarówno w życiu jednostek — lepiej wyrzucić; niżeli dać uboższemu.

To właśnie martwe serce powinien wrócić do życia Rok Święty, to właśnie śpiące serce pragnie w każdym z nas obudzić Zastępcę Chrystusa na ziemi.

Dawniej rodzina w rodzinie doznawała oparcia, ratował zamożniejszy uboższego krewniaka, cenilo się wezły krwi, biedny, czy bogaty był to „pan brat“.

Dzisiaj zamożniejszy odwraca się do biedniejszego plecami i udaje, że go nie zna...

— Przyszła panna Aniela... — anonsuje służąca, a pani podnosi oczy od romansu i w najlepszym razie wyciąga złotego:

— Niech Różia powie, że mnie niema w domu... Ach, ci ubodzy krewni...

A za drzwiami tej ubogiej krewniej rumieniec wstydu pali twarz i oczy napelniają się łzami — jałmużna, gdy ona chciała ogrzać, nie tyle ciało, co serce. I ten złoty staje się kamieniem... Dać to jeszcze nie wszystko, trzeba dać tak, by nie upokarzać, bo już dosyć jest ciężko temu, co musi rękę wyciągać.

I ta właśnie jałmużna, nie sercem dawana ale rzucona, jak parszywemu psu kość, staje się ziarnem kiełkującej nienawiści, bo obraża w człowieku jego godność ludzką.

— Możebyś tę moją ciotkę raz w tygodniu zaprosiła na obiad, byłoby jej u nas miło.

— Także coś! Skazywać się na kilka godzin nudy z taką staruszką, w dodatku czuć ją pleśnią. Nie mój drogi, tego odemnie nie możesz wymagać...

O piękna, bogata pani, i ty będziesz kiedyś tylko nudną staruszką dla nadchodzącego pokolenia i może także będzie cię czuć pleśnią, bo życie dzisiejsze jest jak wzburzona fala, co raz wraz coś innego wynosi na powierzchnię.

Pamiętam, opowiadała mi moja mamusia o pewnej krakowskiej obywatelce, pannie zamożnej bardzo, która z sierot stworzyła sobie rodzinę i zawsze miała w okół siebie kilkoro wychowanków, z którymi dzieliła swój chleb, chowała je i kształciła... Dzisiaj możeby swój majątek obróciła na kurację odmładzającą, na dancingi i podupadłych fortancerów... Taki jest bowiem duch czasu.

Dla sierot są sierocinice, dla bezrobotnych — fundusz zapomogowy. Dla głodnych — kuchnie ludowe — a serce, serce jest to powoli tylko kawałek mięsa, obrosniętego tłuszczem albo wysuszonego nędzą.

Zbudźmy to serce, niech na nowo nauczy się bić dobrocią, współczuciem, niech wypełni się po brzegi miodem uczuć słonecznych, niech się stanie chlebem praśnym, z którego życie i siły weźmie świat.

I niech się to stanie w Rok Święty. Bo nie jest on tylko pamiątką Golgoty ale i Zmartwychwstania.

Bądź człowiekiem.

Nie wstydź się łez pocziwych, co płyną po twarzy,
Ni ognia, co ci lica zapałem rozżarzy,
Ni współzucia na widok bliźniego niedoli;
Bądź człowiekiem, czuj sercem, co cieszy, co boli.

Kto jak ślimak w swej własnej zamknie się skorupie,
Kto na świat ma otwarte oczy zimne, trupie,
Kogo radość, łza ludzka lub smutek nie wzruszy,
Ten już za życia w sobie gasi iskry duszy.

Kto nie brał w swoje piersi bólów pokolenia,
Kto istnieniem nie gorzał dla drugich istnienia,
Kto stał jak uschłe drzewo wśród żyjącej rzeszy,
Tego człowiek ominię i Bóg nie rozgrzeszy. W. B e ł z a.

Pójdźmy za Nim.

Na wysokiej płaszczyźnie, zwanej Golgotą, stały tu i ówdzie małe gromadki ludzi, które uprzedziły pochód, mający wyruszyć z miasta.

Pojedyńcze gromadki ludzi, wyczekujące od rana na Golgocie, zwracały głowy ku miastu, skąd pochód miał lada chwila wyruszyć.

Antea, żona rzymianina Cinny, od lat złożona chorobą ciężką na łożu boleści, całą duszą pragnęła zdrowia. Dużo słyszała o Nazarejczyku, który uzdrawiał ludzi i czynił cuda. W towarzystwie męża i setnika Rufila, złożona na lektyce, przybyła na Golgotę, aby zobaczyć Tego, który miał ginąć na krzyżu z miłości ku ludziom.

Było dla niej w tem coś dziwnego, czego prawie nie umiała zrozumieć. Nikt nie błogosławił dotąd śmierci, nikt nie umierał z niezachwianą pewnością, że dopiero poza grobem zaczyna się prawdziwe istnienie i szczęście tak potężne i nieskończone, jakie tylko Istota Wszechmocna i Nieskończona dać może.

Ów zaś, którego miano ukrzyżować, głosił to jako niewątpliwą prawdę. Anteę nie tylko uderzyła ta nauka, ale wydała się jej jedynym źródłem otuchy i nadziei. Wiedziała, że musi umrzeć — i zdejmował ją żal niezmierny. Czemże bowiem była dla niej śmierć? Oto porzuceniem Cinny, porzuceniem ojca, porzuceniem świata, kochania, pustką zimną, nawpół nicością, mrokiem.

Wtem, nie spodziewając się od śmierci niczego, usłyszała nagle, że ona może jej dać wszystko. I kto to głosił? Jakiś dziwny Człowiek, nauczyciel, prorok, filozof, który nakazywał ludziom miłość, jako najwyższą cnotę, który błogosławił im w chwili chłosty i którego miano ukrzyżować. Więc Antea myślała: „Dlaczego tak nauczał, skoro krzyż Mu jedyną zapłatą? Inni pragneli władzy — On jej nie chciał, inni mienia — On pozostał ubogim; inni pałaców, uczt, zbytków, purpurowej odzieży, wykładanych perłowcem i kością słoniową wozów — On żył, jak pasterz. Przytem zaleca miłość, litość, ubóstwo, nie mógł więc być złym i ludzić umyślnie ludzi. Jeżeli zaś mówił prawdę — w takim razie niech będzie błogosławiona śmierć, jako koniec ziemskiej nędzy, jako zmiana gorszego szczęścia na lepsze, jako światło dla gasnących oczu i jako skrzydła, któremi się odlatuje w wieczną radość.“

Umysł i serce biednej chorej przylgnęły całą siłą do tej nauki.

Pochód ruszył wreszcie z miasta ku Golgocie — i z wyżyny, na której stała Antea, widać go było doskonale.

Z czwartej bramy miasta wysypało się coraz więcej ludzi, a po drodze przyłączali się do nich ci, którzy oczekiwali za murami. Szli początkowo długim korowodem, który rozlewał się, jak wezbrana rzeka, w miarę, jak postępowali naprzód. Pochód mienił się i pszczył od białych oponczy, od szkarłatnych i błękitnych chust kobiecych. W środku połyskiwały zbroje i dzidy żołnierzy rzymskich, na które blask słoneczny rzucał jakby latające promienie. Wrzawa zmieszanych głosów dochodziła zdaleka i stawała się coraz wyraźniejszą.

Nakoniec zbliżyli się zupełnie — i pierwsze szeregi poczęły wstępować na wzniesienie. Tłum śpieszył się aby zająć najbliższe miejsca i widzieć jaknajdokładniej mękę, skutkiem czego oddział żołnierzy, prowadzący skazanych, pozostawał coraz bardziej z tyłu pochodu. Pierwsze przybyły dzieci, przeważnie chłopcy, pół nadzy, poprzewiązywani szmatami w biodrach, z wystrzyżonemi głowami, prócz dwóch pęków włosów przy skroniach — smagli, o żrenicach prawie błękitnych i wrzaskliwej mowie. Wśród tej dzikiej wrzawy poczęli oni wydrapywać ze szczelin zwietrzałe okruchy skalne, któremi chcieli rzucać na ukrzyżowanych. Tuż po nich wzniesienie zaroilo się od różnorakiej tłuszczy. Twarze były po największej części rozpalone ruchem i nadzieją widowiska. Na żadnej nie było śladu litości.

Ścisk powiększał się z każdą chwila. W tłumie widać było zamożnych mieszkańców Jerozolimy, przybranych w pasiaste oponcze, trzymających się zdaleka od niedznej hołoty z przedmieść. Napłynęli licznie i wieśniacy, rolnicy, poprzepasywani workami i pasterze, o twarzach dobrotliwych i zdziwionych, przybrani w skóry kozie.

Tymczasem zdala rozległa się wrzawa, świst, wycie, potem wszystko ucichło. Dał się słyszeć chrzest zbroi i ciężki krok legjonistów. Tłumy zakotłosały się, rozstały i oddział, prowadzący skazanych, począł przesuwać się koło lektyki, w której leżała Antea. Z przodu, po bokach i z tyłu szli równym i powolnym krokiem żołnierze, w środku widać było trzy przecznice krzyżów, które zdawały się same postępować, nieśli je bowiem ludzie zgarbieni pod ciężarem. Łatwo było odgadnąć, że między tymi trzema niema Nazarejczyka, dwaj bowiem mieli bezczelne twarze opryszków, trzecim był niemłody prosty wieśniak, którego widocznie żołnierze zmusili do zastępstwa. Nazarejczyk szedł za krzyżami, mając blisko za sobą dwóch żołnierzy. Szedł w narzuconym na wierzch odzienia purpurowym płaszczu i w cierniowej koronie, z pod której kolców wydobywały się krople krwi. Jedne ściekały mu zwolna po twarzy, inne skrzepły tuż pod koroną, w kształt jagód dzikiej róży, lub koralowych paciorków. Błady był, posuwał się zwolna chwiejnym, osłabionym krokiem. Szedł

wśród uragowiska ciżby, jakby w zaświatowym zamyśleniu pogrążony, jakby oderwany już od ziemi, jakby niebaczny na nienawistne okrzyki, nad miarę ludzkich przebaczeń przebaczący, nad miarę ludzkiej litości litościwy, bo już nieskończonością ogarnięty, już nad ludzkie złoto wyniesiony, cichy bardzo, słodki i tylko ogromem smutku całej ziemi smutny.

— Prawdą jesteś — wyszeptala drżacemi ustami Antea.

Antea widziała Nazarejczyka o kilka kroków: widziała, jak powiew poruszał zwoje Jego włosów, widziała czerwony odbłask, padający od płaszcza Jego na wybladłą i przezroczystą twarz. Tłuszcza, rwąc się ku Niemu, otoczyła teraz ciasnym półkolem żołnierzy, tak, że musieli uczynić z włóczni zaporę, by Go bronić przed jej wściekłością. Wszędy widać było wyciągnięte ramiona z zaciśniętymi pięściami, oczy wychodzące z powiek, połyskujące zęby, brody rozchwiane od wściekłych ruchów i usta w pianie, wyrzucające chrapliwe okrzyki. On zaś spojrzawszy na okół, jakby się chciał spytać: „Com wam uczynił?“ — podniósł następnie oczy ku niebu i modlił się — i przebaczał.

— Anteo! Anteo! — zawołał w tej chwili Cinna.

Lecz Antea zdawała się nie słyszeć tego wołania. Z oczu płynęły jej wielkie łzy, zapomniała o chorobie, zapomniała, że już od wielu dni nie podnosiła się z lektyki, i powstawszy nagle, drżąca, nawpół przytomna z żalu, litości i z oburzenia na ślepe okrzyki ciżby, poczęła chwytac hiacenty i kwiat jabłoni i rzucać pod stopy Nazarejczyka.

Na chwilę uczyniło się cicho. Tłum ogarnęło podziwienie na widok tej dostojnej Rzymianki, oddającej cześć Skazanemu. On zwrócił oczy na jej biedną, chorą twarz, i usta Jego poczęły się poruszać, jakby ją błogosławił. Antea, opadłszy znów na poduszki lektyki, czuła, że spływa na nią morze światłości, dobroci, miłosierdzia, otuchy, nadziei, szczęścia i wyszeptala znowu:

— Tyś jest Prawdą.

Potem nowa fala łez napłynęła jej do oczu. Lecz Jego popchnięto naprzód, na odległe o kilkadziesiąt kroków od lektyki miejsce, na którem stały już wbite w rozpadliny skał słupy krzyżów. Tłum przesłonił Go znowu, lecz, że miejsce owe było znacznie wyniesione, Antea ujrzała znów niebawem Jego bladą twarz i cierniową koronę. Poczęto przywiązywać dwóch opryszków do bocznych krzyżów. Trzeci krzyż stał w pośrodku z białą kartą, przybitą ćwiekiem na wierzchołku, którą podnosił i szarpał wzmagający się coraz wiatr. Gdy żołnierze, zbliżywszy się wreszcie do Nazarejczyka, jęli Go rozbierać z odzieży, w tłumie zagrzmiały okrzyki: „Król, król! nie daj się, królu! gdzie twoje zastępy? broń się!“ Chwilami wybuchał śmiech, który porywał tłuszcze, tak, że nagle cała

kamienna wyżyna rozbrzmiewała jednym chychotem. Jego tymczasem rozciągnięto na ziemi, aby Mu ręce przybić do przecznicy krzyża, potem zaś podciągnąć Go, wraz z nią, na słup główny.

Wtem jakiś człowiek, stojący niedaleko lektyki i przybrany w białą szmarę, rzucił się nagle na ziemię, zgarnął na głowę pył i okruchy kamienne i począł krzyczeć okropnym, pełnym rozpaczny głosem:

— Byłem trędowaty — uzdrowił mnie — czemu Go krzyżują!?

Antei twarz zbielała jak chusta.

— On go uzdrowił... słyszysz, Kaję? — rzekła.

— Czy chcesz wrócić? — spytał Cinna.

— Nie! tu zostanie!

Ale w tej chwili, żołnierze przyłożywszy ćwieki do Jego rąk, poczęli w nie uderzać. Dał się słyszeć tępy szcęk żelaza o żelazo, który wnet zmienił się w donioślejszy brzmiający rozgłos, gdy ostrza gwoździ przeszedłszy przez ciało, zagłębiły się w drzewo. Tłumy uciszyły się znowu prawdopodobnie dla tego, by napawać się krzykami, jakie męczarnia mogła wydrzeć z ust Nazarczyka. Ale on pozostał cichy, i na wyżynie rozlegały się tylko złowrogie i straszne uderzenia młotów.

Wreszcie skończono robotę i przecznice wraz z ciałem podciągnięto ku górze. Pilnujący roboty setnik wymawiał, a raczej śpiewał jednostajnym głosem słowa komendy, wedle której jeden z żołnierzy począł następnie przygważdżać nogi.

Tymczasem owe obłoki, które od rana wytaczały się na widnokrąg, przysłoniły słońce. Odległe wzgórze i skały, świecące w blasku, zgasły. Świat zmierzchnął. Złowrogie, miedziany mrok ogarnął okolicę, i w miarę, jak słońce zasunęło się coraz głębiej za wały chmur, gestniał coraz bardziej.

— Wracajmy! — rzekł znów Cinna.

— Jeszcze, jeszcze chcę Go widzieć! — odpowiedziała Antea.

Ponieważ mrok przesłonił wiszące ciała, Cinna kazał zanieść lektykę bliżej do miejsca męki. Przynęli się tak blisko, że za ledwie kilka kroków dzieliło ich od krzyża. Na ciemnym drzewie widać było Ciało Ukrzyżowanego, które w tem powszechnem zaćmieniu wydawało się jakby ze srebrnych promieni księżyca utkane. Piers Jego podnosiła się szybkim oddechem. Głowę i oczy trzymał jeszcze zwrócone ku górze.

Wtem w głębiach chmur ozwał się głuchy pomruk. — Grzmot zbudził się, wstał, przetoczył się ze strasliwym łoskotem od wschodu za zachód, a potem, jakby zapadał w bezdenne przepaści, odzywał się niżej i niżej, to cichnąc, to wzmagając się, wkońcu huknął, jak grom, aż ziemia zatrzęsała się w posadach.

Jednocześnie olbrzymia błyskawica rozdarła chmu-

ry, rozświeciła niebo, ziemię, krzyże, zbroje żołnierzy i zbitą, jak stado owiec, tłuszcę niespokojną i trwożną.

Po błyskawicy zapadła jeszcze grubsza ciemność. — W pobliżu lektyki ozwały się łkania jakichś kobiet, które również zbliżyły się do krzyża. Było coś przerażającego w tem łkaniu wśród ciszy. Tu i ówdzie ozwały się przerażone głosy:

— Oj! oj! lanu! zali nie Sprawiedliwego ukrzyżowano!?

— Który dawał świadectwo prawdzie! Oj! oj!

— Który wskrzeszał zmarłe. Oj! oj!

A inny głos zawołał:

— Biada ci, Jeruzalem!

Inny znów:

— Ziemia zadrżała!

Druga błyskawica odkryła głębie nieba i ukazała w nich jakby olbrzymie ogniste postaci. Głosy ucichły, a raczej zginęły w poświście wichru, który zerwał się nagle z olbrzymią siłą, zdarł mnóstwo chust, opończy i począł nimi rzucać po wyżynie.

Głosy poczęły znów wołać:

— Ziemia zadrżała!

Niektórzy jęli uciekać. Innych trwoga przykuła do miejsca — i ci stali w osłupieniu, bez myśli, z tem metnem wrażeniem tylko, że stało się coś straszliwego.

Lecz mrok począł nagle rudnąć. Wichur przewracał chmury, skręcał je i szarpał jak zetlałe szmaty. Jasność wzrastała stopniowo, nakoniec ciemny strop rozdarł się i przez szczelinę lśnił nagle potok słonecznego światła: wnet rozwidniła się wyżyna, zaleknione twarze ludzkie i krzyże.

Głowa Nazarejczyka opadła nisko na piersi, blada jakby woskowa; powicki miał zamknięte i zsiniałe usta.

— Umarł — szepnęła Antea.

— Umarł — powtórzył Cinno.

W tej chwili centurjon sięgnął włócznią do boku zmarłego. Dziwna rzecz; powrót światła i widok tej śmierci zdawał się uspokajać tłumy, przysuwały się one teraz coraz bliżej, zwłaszcza, że żołnierze nie bronili już przystępu. Wśród czerni ozwały się głosy:

— Zejdź z krzyża! zejdź z krzyża!

Antea raz jeszcze rzuciła oczyma na tę bladą, zwieszoną głowę, poczem ozwała się cicho, jakby sama do siebie:

— Zali zmartwychwstanie?

— Słup światła zbliża się do mnie — mówi Antea. — Widzę! To On, to Nazarejczyk!... Uśmiecha się... O słodki... o miłościwy... Ręce przybite wyciąga do mnie jak matka. Cinno — On mi niesie zdrowie — zbawienie i wzywa mię do siebie.

A Cinno pobladł i rzekł:

— Gdziekolwiek nas wzywa, pójdziemy za Nim!

Henryk Sienkiewicz.

Skowronek.

Zawisł Pan w męczarniach na krzyżu Golgoty,
Urąga Mu motloch i szydzą zeń roty,
Wypreża się ciało na krzyżu rozpięte,
Na dłoniach rozdziera gwóźdź rany Mu święte...
I tylko nad Synem użala się Matka,
I uczniów pod krzyżem żali się gromadka.
A szary skowronek lot szybko swój zniża.
Przysiada na jednym ramieniu u krzyża,
Litośnie próbuje cierń z skroni skrwawionej
U Zbawcy wyciągnąć swym dzióbkiem na stronę,
A gdy się napróżno utrudza ptaszyna,
Z litości i żalu świergotać zaczyna,
I żali nad Jego śmiertelną się męką,
I Zbawcy konanie osładza piosenka.
A Chrystus, litośnie spojrzawszy na ptasze,
Przeznaczył mu w myśli, by w strony tu nasze
Przylatał na wiosnę, gdzie wielka mogiła,
Gdzie naród na krzyżu, kraj cały przykryła;
By szary skowronek swą rzewną piosenką
Nad ludzi bolesną litował się męką.
Tak wiosny znój ciężki i pracę oracza
Piosenka skowronka mu słodzi i skraca.
Gdy niwę wych ojców orze w czoła pocie.
Skowronek mu nuci przy ciężkiej robocie.
A z piosnką ptaszyny pieśń ludzka się wzbija,
I leci w niebiosa i chmury przebija,
I śpiewa tam Bogu o naszej niedoli,
O wszystkim, co tutaj tak bardzo nas boli.

X.



„Trzeciego dnia Zmartwychwstał”.

Nad Golgotą zapadł czarny, nieprzenikniony zmrok, gdy przystąpiono do pochowania Ciała Jezusa.

Trzeba było pracować przy świetle pochodni, które rzucały czerwony blask na białe Ciało Jezusa, oświetlały czerwone sznurki zastygłej Krwi na drzewie Krzyża.

Dwaj przyjaciele Jezusa, Józef i Nikodem, wyciągają gwoździe z Rąk i Nóg i podtrzymują zwisające Ciało Zbawcy, by nie spadło na ziemię, a potem w milczeniu głębokiem i w skupieniu kładą Je na kolana Matki Bożej.

Inaczej wyglądał Syn Boży, gdy Go Matka Najśw. dała światu... a teraz to Boskie Ciało brudne od potu przedśmiertnego, od kurzu „plwocin i zastygłej krwi... zaś Rany Rąk, Nóg i Boku jeszcze sączą z siebie zaczerwienioną wodę...

Po umyciu spowito Boskie Zwłoki w białe prześcieradła, namaszczone obficie wonnemi olejkami, obłożono ziołami... Głowę owinięto w płótno śnieżnie białe a Twarz nakryto osobną chustką... poczem delikatnie umieszczono Je w grobie wykutym w skale i przywalono otwór dużym kamieniem.

Mężczyźni oddalili się do domu, a niewiasty jeszcze zostały, bo nie mogły oderwać się od Grobu, który więził ich Zbawcę. Wśród głębokiego milczenia i obfitych łez wypowiadały Mu swą cichą miłość gorącą... jęcząc cichym żalem razem z Matką Bolesną.

Pochodnie dogasały a przenikliwie zimno wstrząsało rozgorączkowanemi ciałami Niewiast, a oczy piekły od łez i niewyspania... więc podniosły się z klęczek, wzięły Matkę N. pod ręce i skierowały swe kroki w stronę okrutnego Jerusalemu.

Trzy dni leżało Boskie Ciało Jezusa w Grobie.

W niedzielę Wielką, nim jeszcze na wschodzie lekki świt zaczął srebrzyć krawędzie gór a gwiazdy drgającym światłem żegnały pogodne niebo, już cztery Niewiasty zdążyły po drodze mokrej od rosy ku Grobowi. Twarze ich już nie wyrażały tego smutku jak przed trzema dniami... bo czuły wokół jakiś niezwykle nastrój bosko-uroczysty.

W miarę, jak zbliżały się do Grobu Umiłowanego Zbawcy, cała przyroda przybierała kolory świeżej róży, gdyż zorze poranne poprzedzające wschód słońca rozlewały swe ożywcze barwy, malując cały świat rumieńcami świtu.

Niewiasty mówiły między sobą cicho, jakby nie chciały zakłócić tej uroczystej chwili budzenia się dnia tak świętego w którym dokonał się największy cud, jaki świat zna cud Zmartwychwstania Jezusa.

„Kto nam kamień odwali?” — pyta jedna z niepokojem. Miały widocznie zamiar złożyć w Grobie nowe wonności.

Ale jakież było ich zdumienie, graniczące z przerażeniem, gdy doszły do Grobu i zobaczyły odwalony kamień? Same niemal skamieniały.

Ze środka Grobu wychodziła nieprzenikniona ciemność... Żadna z Niewiast nie weszła tam — tylko patrzyły jedna na drugą, a potem oglądały się wokół, jakby chciały kogoś znaleźć — albo winowajcę albo świadka...

Marja Magdalena spuściła głowę, patrzyła w jeden punkt, a myśl jej pracowała gorączkowo.

Nagle niby błyskawica strzeliła jej myśl: „Żydzi musieli wykraść Jezusa — tylko żydzi, by jeszcze po śmierci sponiewierać zwłoki Chrystusa, bo zanadto paradny zrobiono Mu pogrzeb...”

„A może Jezus jest jednak wewnątrz Grobu?” — przychodzi inna myśl... A wtem słońce trysło pierwszymi czystymi i złotymi promieniami z poza góry i oświeciło ciemne wnętrze Grobu... Teraz odważyły się Niewiasty wejść do środka. Zrazu nic nie widziały, bo oczy musiały przyzwycząić się do ciemności... ale nagle drgnęły wszystkie, aż dogi zachwiały się pod niemi... bo widzą jak z prawej strony Grobu siedzi śliczny Młodzian ubrany w białą szatę tak jasną, jakby była utkana z bieli śnieżnej, osrebrzonej słońcem.

„Nie lękajcie się“, rzecze łagodnie Młodzian. „Czemu szukacie żyjącego między umarłymi? Niemasz Go tutaj: zmartwychwstał: przypomnijcie sobie, jako wam powiadał, gdy jeszcze był w Galilei, że będzie wydan w ręce ludzi grzesznych, ukrzyżowan, by trzeciego dnia zmartwychwstać“.

Po bezgranicznem przerażeniu, bezmiar szczęścia zalał serca pocziwych Niewiast, gdy słuchały słów Młodziana. Nie były zdolne nic powiedzieć, o nic pytać... bo chciały zebrać myśli i oprzytomnieć po tak skrajnie różnych wrażeniach. Młodzian mówi dalej: „Idźcie i powiedzcie Uczniom Jego i Piotrowi, że Go zobaczą jako im przepowiedział.“

Biedne Niewiasty nie mogły opanować nerwów, przerażenie walczyło w nich z niesłychaną radością... a wszystko razem przejęło je uczuciem strachu, że zaczęły pędem uciekać od Grobu. Biegły co sił do Apostołów...

Nagle jedna z nich zatrzymuje się, to Marja Magdalena. Tknęło ją jakieś dziwne uczucie że ma zostać... ale po co? — nie wie. Słowa Młodziana pamięta... czy Go dobrze zrozumiała... a czy to może nie ktoś przebrany, będący w zмовie z żydami?... Ona musi jeszcze raz wrócić do Grobu... I wraca... Uszła kilka kroków i znów ogląda się. I oto widzi obok siebie jakiegoś mężczyznę. Słońce już silnie oświecła wiosenną zieleń i pogodna okolice, więc Marja dobrze widzi, że obok niej stoi jakiś Mężczyzna.

„Niewiasto, czemu płaczesz?“ — odzywa się ów Mężczyzna. Marja sądzi, że to ogrodnik Józefa z Arymatei, idący do swej pracy.

„Płaczę, gdyż wzięto Pana mego z Grobu, a nie wiem, gdzie Go złożono. Jeśliś Go ty wziął, powiedz mi, gdzieś Go położył, a pójdę Go zabrać.“

„Marjo“ — rzecze Mężczyzna. Marja drgnęła na całym ciele — bo ten Głos jest jej przecież tak znany... to Głos Jezusa... pada więc do stóp Mistrza, rzucona szczęściem, radością i miłością... i nie może nic więcej powiedzieć, jak tylko „Mistrzu“ Rabboni i zaraz chce całować stopy Jego mokre od rosy porannej a naznaczone świeżymi ranami od gwoździ.

„Nie tykaj mię“, mówi Jezus, „bom jeszcze nie wstąpił do Ojca mego, ale idź i powiedz braci mojej, że wstępuję do Boga mego i waszego... i, że uprzedzę ich w Galilei.“

Podnosi się Marja — ale Jezusa już przy niej niema...

Serce wali jej jak młot, bo nie może pomieścić szczęścia... Jezus Zmartwychwstał. Chrystus Zmartwychwstał, to tylko słyszy w swej duszy. Twarz jej przybiera rysy wprost niebiańskie, w oczach pogoda najszczęśliwszego dziecka. Czuje w sobie siłę, rzeźkość, jakby żadnych cierpień nie przechodziła, jakby nie była na Golgocie.

Zrywa się i biegnie co sił, by spełnić polecenie Pana i zaświadczyć o Jego Zmartwychwstaniu... a może jeszcze i towarzyszki dogoni i opowie im, Kogo widziała... a nawet rozmawiała z Nim...

Biegnie szybko i nie czuje zmęczenia, bo szczęście niesie ją jakby skrzydła.

Koleżanki wyprzedziły ją z tą najradośniejszą wieścią. Wpadły niby wichurą do Wieczernika i jedna przez drugą wołają: „Pan Zmartwychwstał!“ „Widziałyśmy otwarty Grób, słyszałyśmy Młodziana i przynosimy rozkaz od niego ogłoszony w Imieniu Mistrza... do was i do Piotra...“

Ale Apostołowie byli tak złamani na duchu, tak pogromieni okropnościami owych strasznych chwil od Ogrojca do Kalwarji, że nic a nic nie reagowali na owe wieści jakie im Niewasty głosiły.

Siedzieli smutni z popuszczanymi głowami, bladzi, niewyspani, wystraszeni, a przedewszystkiem zupełnie zdruzgotani na duszy. Żeby nie ta Golgota, żeby nie to haniebne ukrzyżowanie wśród takiego pohańbienia...

Niewiasty powtarzają z naciskiem, co im Młodzian kazał donieść... ale Apostołowie machają tylko rękami z wyrazem całkowitego zwątpienia i niedowierzania... a wtem wpada Marja Magdalena. Włosy rozwiane a twarz wyraża tyle

szczęścia, że Apostołowie mimowoli podnoszą głowy i patrzą, jakby widzieli kogoś z innego świata...

Widziałam Pana, rozmawiałam z Nim, klęczałam u Jego stóp poranionych; On mnówił do mnie, po imieniu wołał na mnie... On mię do was posyła... wszyscy Go macie widzieć, wszystkim wam ukaże się, zapewnił mię o tem.

Piotr i Jan zerwali się z miejsc, wyszli z Wieczernika i pośpieszyli w stronę Grobu.

Piotr czuł, że przez te kilka dni postarzał się strasznie: nogi ciężły mu jak ołów, klatka piersiowa stała się jakaś ciasna, serce trzepotało się w niej niby ptak usidiony, szedł, raczej włókł się, a im bliżej był Grobu, tem słabszym czuł się; bo on przecież wyparł się Mistrza, jak Mu teraz może pokazać się na oczy, on krzywoprzysięzca, niewdzięcznik, niedowiarek... Te właśnie wyrzuty sumienia tak postarzały Piotra i podcięły go fizycznie.

Jan go już daleko wyprzedził, już oglądał odwalony kamień i czeka na kolegę, by razem weszli do Grobu.

Zdyszany Piotr wchodzi do groty, Jan za nim... oglądają prześcieradła, chustę osobno na boku złożoną... Patrzą i nic nie mówią do siebie. Jan uwierzył, choć nie widział Pana. Milczkiem wychodzą z Grobu i zaraz biegną do Wieczernika, bo może tam Jezus jest już...

Ale, nim Piotr i Jan wrócili od Grobu, inni dwaj uczniowie poszli do Emaus, bo byli tak przybici i złamani, że nawet świadectwo Piotra i Jana nie uleczyłoby ich schorzałej duszy. Po drodze dzielą się swemi smutkami i zwątpieniem, gdy nagle ujrzeni obok swych cieniów cień trzeciej osoby. Obejrzeni się i widzą Człowieka, który idzie obok nich... i zdaje się im, że twarz Jego jest im skądś znana...

„Cóż to za rozmowy prowadzicie i czemu tak smutni jesteście“ — pyta ów Przybysz.

Biedni uczniowie wylewają całą gorycz z serca tak zmiażdżonego — tragedją Golgoty... a On zaczyna im tak jasno, tak dobitnie tłumaczyć potrzebę Golgoty... że robi się im w duszy jasno, pogodnie, radośnie, wiara zmartwychwstaje... więc proszą Go, by został z nimi... i proszą Go na posiłek. On przyjął zaproszenie. Gdy siedli do stołu i dostali od Niego chleb, poznali, że to Jezus Zmartwychwstały... Jezus tymczasem znikł im z oczu.

Nie kończą zaczętego posiłku, tylko wybiegają co rychło z domu i śpieszą do Apostołów z ogromną nowiną.

Zastają Apostołów żywo rozmawiających, bo już i Piotr widział Pana... Dwaj przybyli zaczynają z najdrobniejszych

szczegółami opowiadać co widzieli, co im opowiadał i jak Go poznali przy łamaniu chleba.

Rozmowa stawiała się coraz gorętszą, Apostołowie i Uczniowie wyzbywali się powoli niedowiarstwa, ale niektórzy czuli żal w duszy, czemu to tylko kilku osobom zjawia się Jezus, a nie wszystkim...

Aż do wieczora żywo rozprawiali o tym największym cudzie Zmartwychwstania, wyrzucali sobie w duszy niedowiarstwo, które jeszcze kryło się w kąciaku ich dusz...

Nagle w czasie tych gorących rozpraw robi się grobowa cisza... bo jakaś Postać staje wśród nich i mówi słodkim głosem: „Pokój wam.“

Nikt nie odpowiada na to pozdrowienie, wszystkich przeszedł jakiś dreszcz, zerwali się z miejsc i patrzyli wytrzeszczonemi oczyma w Tego, Którego pierwszy raz widzą po Jego zgonie.

„Czemuście się zatrwożyli?“ pyta Jezus. — „Oglądajcie ręce moje i nogi, dotykajcie i przekonajcie się, że ja jest — bo duch nie ma ciała — a ja mam.“

Niektórzy podają na kolana, widzą rany na nogach, widzą ranę w boku, widzą przedziurawione ręce. Widzą to wszyscy, ale milczą nadal, bo zbyt wiele, aż za dużo przyżyli dnia dzisiejszego — milczą nawet ci, co już dziś mówili z Jezusem. Chrystus, by ostatnie ich wahania rozproszyć — pyta ich: „Macie co jeść?“ Mieli zaledwie kawałek zimnej ryby, więc podają Mu ją a potem trochę miodu. Jezus pożywił się w ich obecności. Apostołowie przychodzili powoli do siebie. Milczeli nadal, ale to milczenie było wyrazem niewymownego szczęścia — bo ich Ukochany Mistrz rzeczywiście Zmartwychwstał, jako pogromca śmierci, piekła i szatana. A gdy zmartwychwstał On to i oni — i wszyscy zmartwychwstaną, bo On przecież powiedział dawniej: „Jam jest Zmartwychwstanie i Żywot... kto wierzy we Mnie, choćby umarł żyć będzie na wieki.“

* * *

A więc i my zmartwychwstanjemy — po tej Golgocie naszego życia. — Zatem w miejsce zwątpienia w czasach udręki, w miejsce narzekania, w chwilach Krzyża, pomyślmy o naszym zmartwychwstaniu — bo po każdej Golgocie, zniesionej za przykładem Jezusa, musi przyjść radosne „Alleluja Zmartwychwstania“.

X. J. Cz.



Staś — Apostołem Misji Wewnętrznej.

Cisza wokół. Przyroda tonie w srebrzystej powłoce świeżo nasypanego śniegu. Słabe promienie słońca wybijają się z poza chmur i wpadają spokojnie częścią okna do ciepłej i schludnie przybranej izby. Matka krząta się żwawo około prac domowych... Mały Staś zasiadł przy stole i przerzuca z dziecięcą powagą kartki czasopism, leżących na stole, ogląda obrazki, z których jedne więcej go interesowały, inne zupełnie nie. Kolejno natrafił na „Głos Misji Wewnętrznej“, którego okładka mu zaimponowała, więc też z większym namaszczeniem zaczął go przeglądać. Uwaga Stasia skupiła się na jednej z fotografii, która odtwarzała grupkę dzieci, rzędem stojących; każde z nich trzymało przed sobą pisemko podobne do tego, które on przeglądał.

— Mamusiu, jakie to są dzieci i dlaczego je sfotografowano? — woła Staś i biegnie, aby matce fotografię pokazać.

— To są mali kolporterzy „Głosu Misji Wewnętrznej“, to są mali misjonarze w misji, która Ks. Biskup założył — odpowiedziała matka, zajęta pracą.

Staś z jeszcze większym przejęciem położył przed sobą „Głos Misji Wewnętrznej“, oglądał go dalej i namyślał się, jak to te dzieci muszą być szczęśliwe... Serduszko jego pałało dziwną radością, uśmiechał się... oczęta roziskrzyły się słonecznym blaskiem, a usteczka szczebiotać zaczęły głośno: „jak się ciesze, że dzieci mogą być misjonarzami, jak dobry jest nasz Ks. Biskup, że i o nas dzieciach nie zapomniał...“ — Zrywa się z krzeselka i znowu biegnie do matki...

— Mamusiu, powiedz mi, jak to można być apostołem „Misji Wewnętrznej“ — wołał mały Staś, przyglądając się ze wszęch stron fotografii dzieci apostołów.

Matka zakrzęta pracami domowymi, mało zważała na zachwyty Stasia. Wreszcie na kilkakrotne upominanie się dziecka, odpowiedziała: — „zaczekaj, gdy skończę pracę to ci wytłumaczę...“

Wiedziała ona o „Misji Wewnętrznej“, bo jest jej członkiem, a „Głos Misji Wewnętrznej“ bywa stałym gościem w ich domu. Czytywało go starsze rodzeństwo wieczorami przy stole, kiedy matka siedziała przy robótce ręcznej, a ojca nie było w domu.

Mówił kiedyś ksiądz na ambonie, — myślała, przechadzając się po kuchni — że dziecko, chociaż mało rozumie, ale swą modlitwą płynącą z niewinnego, pełnego prostoty serduszka, przytem modlitwą gorącą, może uprosić u Boga prędej i skuteczniej wiele łask... dla swych rodziców — głęboko z żalem westchnęła... — Boże, przecież i jego ojciec jest niewierzący, nie modli się i do kościoła nie chodzi... Może mo-

dlitwa dziecka uprosi łaskę nawrócenia dla niego. Takie i podobne obrazy przesuwają się w duszy stroskanej matki...

— Mamusiu, czy już masz czas, powiedzieć mi, jak to można być apostołem? —

— Dobrze, zaraz.

— Stasiu, apostołem jest ten, kto cośkolwiek robi dobrego dla bliźnich, zaś, aby być apostołem Misji Wewnętrznej, trzeba modlić się i ofiarować swe małe drobne przykrości Panu Jezusowi za tych, którzy Mu przykrości wyrządzają, i prosić gorąco, aby ich oświecił, a potem — wziął ich do nieba. —

— A kogo Pan Jezus weźmie do nieba? —

— Wszystkich, którzy Go kochają i spełniają Jego przykazania.

— A czy mnie Pan Jezus weźmie do nieba? —

— Jeśli będziesz dobrym chłopcem, grzecznym i posłusznym, nie będziesz robić Panu Jezusowi przykrości, a jeżeli kiedy Go obrazisz, to natychmiast króciutka modlitewką Pana Jezusa przeprosisz — wtedy weźmie cię do nieba.

— A ty, mamusiu, też będziesz w niebie. Wandzia też i Józio, ten, co wczoraj na mnie rzucił kulka śniegu na ulicy, i tatuś też... Mamo! tatuś nie prosi Pana Jezusa... prawda mamusiu, on się nigdy nie modli i też do kościoła nie chodzi, czy tatuś będzie w niebie...? —

Matce serce krajało się z bólu. Mały Staś, nie wiedząc dokładnie przyczyny smutku, wpatrywał się w nią szerokimi oczyma i czekał niecierpliwie odpowiedzi.

— Widzisz dziecko, tatuś twój jest bardzo dobry, kocha cię i nas wszystkich, ale do kościoła nie chodzi i nie modli się. Jednak Pan Jezus może tatusia nawrócić, trzeba tylko Go o to prosić. Módl się ładnie do Pana Jezusa i ofiaruj Mu swe przykrości — a to wszystko za twego tatusia.

— Dobrze, mamo, ja będę się modlić o nawrócenie dla tatusia, będę też małym apostołem w Misji Wewnętrznej. —

Od tej chwili Staś chodził dziwnie skupiony, myślał zapewne o tej rozmowie z matką, która nie była mu zupełnie zrozumiała, o tatusiu, który według jego mniemania nie może pójść do nieba... Matka spostrzegła w ruchach i rysach twarzy dziecka pewne zakłopotanie, ale udawała, że nic nie widzi. Przy każdej sposobności obserwowała Stasia i jego zachowanie się, zwłaszcza wobec ojca.

Wieczorem, kiedy ojciec po całodzienniej pracy według starego zwyczaju zasiadał przy stole i przeglądał gazety lub czasopisma, Staś stawał na uboczu i wpatrywał się zagadkowo promieniejącymi oczyma w ojca. A gdy ojciec przywołał go

do siebie, aby z nim się zabawić, Staś był jakiś inny, uśmiechał się, ale spojrzenie jego było pełne dziecięcej tęsknoty i smutku nieokreślonego. Obraz ten powtarzał się coraz częściej. Ojciec nie mógł się w żaden sposób domyśleć, co jest przyczyną, iż dziecko od pewnego czasu wygląda tak zmienione. Najbardziej niepokoiły go niezwykła powaga twarzyczki i owo tajemnicze wpatrywanie się, z którego wyczytał, że Staś chce coś powiedzieć, ale nie może, brak mu odwagi.... Nieraz tulił się pieszczotliwie do ojca i opowiadał żywo o figlach podczas dnia wyrządzonych, o kolegach, o ślicznej wiosnie, swych letnich wakacjach, aż pewnego razu powiada do ojca tak:

— Prawda tatusiu, Pan Jezus jest taki dobry, że stworzył dla nas taki duży — ładny — świat, a w nim takie ładne góry, rzeki, dużo drzew, kwiatów, różnych ptaków...

— A tak, dobry, — potwierdza ojciec.

— Czy wie tatuś, ksiądz w krucjacie nam mówił, że dobre dzieci Pan Jezus weźmie do nieba... ale, tatusia — dziecko zaczęło głośno szlochać... —

— Co ci jest Stasiu? — dlaczego płaczesz, kto cię skrzywdził?

— Nikt mnie nie pokrzywdził tatusiu... Ja tatusia bardzo kocham i mnie pewnie będzie smutno u Pana Jezusa bez tatusia... — Staś zaczął jeszcze bardziej zanosić się do płaczu.

— Dlaczego ci będzie smutno? — ojciec zaczął usilnie dziecko uspakajać — tam będziesz miał 'nnego tatusia, będziesz z aniołami bujać w obłokach, w niebie niczego ci nie będzie brakowało...

Ale dziecko nie mogło się uspokoić.

Ojciec oparł głowę o dłoń lewej ręki a prawą przytrzymał Stasia i zamyślał się głęboko i długo... Staś tymczasem już się uspokoił, ale widząc tatusia smutnego i zadumanego, szepce spokojnie, wpatrując się z miłością dziecięcą w ojca: „Czy tatuś kocha Pana Jezusa?“

— Idź już Stasiu do mamy, ja chcę trochę odpocząć, kiedy indziej z tobą o tem pomówimy...

Niedziela. Po południu matka ze starszem rodzeństwem poszła do kościoła, a Staś został z ojcem w domu. Po długiej dyspacie o różnych rzeczach, mówi do ojca:

— To tatuś mnie dziś odpowie też na to moje pytanie, przypomina sobie tatuś... — tatuś obiecał.

— Stasiu, czy ty chcesz, abym kochał Pana Jezusa — uśmiechnął się niewyraźnie, takie zadając pytanie.

— O tak, bardzo chcę i strasznie się cieszę...

Staś zaczął skakać z radości. Uczepił się ojca za szyję i zaczął go serdecznie ścisnąć.

— No, dosyć ci, dosyć, mały figlarzu, pójdź teraz na ulicę i zabaw się z dziećmi, patrz jak ślicznie słońeczko świeci. Idź już, idź...

Staś zdawał się być dziwnie tem powiedzeniem zaskoczony, ale nie upierał się ani na chwile, wdział płaszczyk i poszedł.

Ojciec został sam. Przechadzał się dużymi krokami po pokoju, czuł się jakoś podenerwowany, nie mógł opanować wrażenia, wywołanego rozmową ze Stasiem. Pytania zaś dziecka zahaczyły o najtkliwsze struny duszy jego. A więc dziecko — uświadamia sobie, że ma ojca niewierzącego... Ale co to je może obchodzić?... Tak — ale biedne dziecko strasznie cierpi — jego szlachetne serduszko drży jak liść z obawy o mój przyszły los... Widzę ten smutek w duszyczce Stasia, jego błagalne oczy stale we mnie patrzą — ja czuję jego ból... Podchodzi do okna, aby zobaczyć, co robi Staś i czy się bawi.

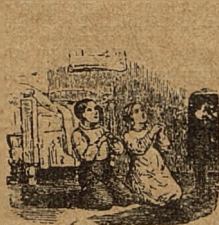
Dzieci uganiały jedno za drugim, wrzask na ulicy rozbrzmiewa wokół głośnem echem, buzie dziecięce wyglądają rozpromienione i radosne. Ojciec szuka w gronie bawiących się dzieci Stasia, ale nie może go znaleźć. Gdzie on może być?

Zaniepokojony — wybiega z domu — by chłopca szukać. Od dzieci dowiaduje się, że Staś szedł w kierunku kościoła. Idzie za nim. Z tęsknią przestępuje próg kościelny, aby się przekonać, czy niema tam małego Stasia.

W małym kościółku, jaskrawo malowanym, promienie zachodzącego słońca odbijały się różnobarwną tęczą o złociste tabernakulum i rozpraszały swój blask na cały ołtarz. Przed kratami klęczało dziecko z podniesionemi w górę oczętami i cicho szeptało: „Jezusku, nawróć mego tatusia...”

Widok ten skruszył zatwardziałe serce ojca, uczucie niepojętego żalu wezbrało mu w duszy... przybliżył się do ołtarza, ucałował Stasia, potem padł na kolana, i modlił się długo... Wyszedł nawrócony.

R. L.



Na pięknych drogach propagandy za „Głosem Misji Wewnętrznej“.

Niełatwo było zdecydować się na wydawanie — w dzisiejszych ciężkich czasach — nowego miesięcznika religijnego...

Z wiarą jednak w pomoc Bożą i w poparcie ze strony naszych rzesz katolickich „Głos Misji Wewnętrznej“ zaczął wychodzić — **rozpoczął swą pielgrzymkę i postannictwo na terenie diecezji Śląskiej.** Dając ze swej strony zapal służenia sprawom Bożym i dusz ludzkich, starając się jaknajbardziej zainteresować kochanych Czytelników doborem artykułów i tematów, idzie „Głos Misji Wewnętrznej“ dopiero niecały rok, a już zdołał pozyskać dość liczną armię Czytelników, Sympatyków, Przyjaciół i gorliwych Propagatorów.

Rozumie się, że każda rzecz, nawet najlepsza, ale jeszcze niezbyt znana, musi być rozpowszechniana środkami propagandy.

Dziś właśnie pragniemy stwierdzić, że pismo nasze weszło jakby już w drugi okres swego rozwoju. Pierwszym okresem było coraz większe budzenie się zainteresowania i uznania dla „Głosu M. W.“; drugim okresem **jest piękny rozwój propagandy na rzecz „Głosu“.** W tym dziele **pierwszorzędną rolę zaczyna odgrywać nasze Przewielebne Duchowieństwo parafjalne.**

Pozwalamy sobie przytoczyć dosłowną treść listu, rozsyłanego w Bogucicach z inicjatywą i staraniem przewiel. ks. prob. Ścigały i przewiel. ks. Kubicy, patrona S. M. P.

Oto treść listu:

Bogucice, dnia 10 lutego 1933 r.

Wielmożni Państwo!

Znając wielkie zainteresowanie W. Państwa sprawami religijnymi, pozwalamy sobie przesłać jeden egzemplarz nowego miesięcznika diecezjalnego p. t. „Głos Misji Wewnętrznej“. Wystarczy zapoznać się z treścią załączonego numeru, aby się przekonać o wartości i wysokim poziomie tegoż pisma. Cena pisemka nader niska, bo 30 gr za egzemplarz — abonament zaś roczny 3,60 zł.

W najbliższych dniach przybędzie członek Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej, który będzie przyjmował zgłoszenia na abonament. Pismo będzie dostarczane co miesiąc zaraz do domu — zapłatę można uiszczać, albo zgóry za cały rocznik, albo każdorazowo za pojedynczy numer. O ile W. Państwo nie zechcą korzystać z niniejszego zaproszenia do prenumeraty, proszę oddać posłańcowi załączony egzemplarz okazowy.

Z poważaniem

Ks. Fr. Ścigała, prob.

Ks. Jan Kubica, patron SMP.

Czyż to nie piękny, a jednocześnie najskuteczniejszy sposób propagandy dobrej sprawy?... Nikogo się nie zmusza, nikomu się nie narzuca pisma. Dobra wola kapłanów bierze

na siebie trud (niezawsze miły i wdzięczny) zwrócenia uwagi katolickich sfer parafji na rzecz dobrą, a potem już każdy sam zdecyduje się, co ma zrobić, gdy pismo zobaczy, a cel i treść jego pozna. **Ten sposób, zaiste, godzien jest naśladowania...**

A np. dzięki staraniom Katol. Urzędu Parafjalnego w Goduli, liczba abonentów podniosła się o 100.

Także nasi **kolporterzy** i propagatorzy świeccy pracują dla „Głosu M. W.“, albo raczej — dla sprawy Bożej przez niego głoszonej i bronionej — coraz lepiej i owocniej. W tych samych Bogucicach duszą propagandy świeckiej za „Głosem“ jest **Leon Schubert**, wicezelnik Okr. Katowickiego S. M. P. — młody człowiek, bardzo dzielny... W innych miejscowościach praca propagandowa idzie wyraźnie naprzód... **P. Kubaczówna** w Nowych Hajdukach zdołała podwyższyć liczbę abonentów ze 145 na 195; **P. Gwoździówna** (Katowice, Katedra) zdobyła już 220 abonentów...

Widoczne błogosławieństwo Boże jest z „Głosem M. W.“, z tymi wszystkimi, co dla rozpowszechnienia go pracują!

Jeżeli tak dalej pójdzie — to „Głos“ z pomocą Bożą i za coraz większym poparciem licznych katolików w zupełności spełni cel, dla którego powstał — **t. zn. przyczyni się do odrodzenia wewnętrznego diecezji Śląskiej.**

Lecz nie tylko na Śląsku rozwija się propaganda za „Głosem M. W.“ **Przytaczamy urywek listu przewiel. ks. prałata Marchewki z Jędrzejowa (Wojs. Kieleckie).** On poinformuje najlepiej naszych Czytelników, jak bywa przyjmowany nasz miesięcznik w innych diecezjach i jak tam również może liczyć na pełne poparcie.

Oto wyjątek z treści listu przewiel. ks. prałata Marchewki:

„Bardzo mi się podoba pismo „Głos Misji Wewnętrznej“. Artykuły ma bardzo aktualne, przykłady prześliczne. Pismo to może oddać wielkie przysługi Kościołowi nie tylko na Śląsku, ale i w całej Polsce. Szkoda, że tak mało jest znane poza diecezją śląską! Proszę mnie zapisać na stałego prenumeratora tak cennego pisma.“

Na Śląsku dawałem już kilkadziesiąt seryj rekolekcyj w różnych parafjach i kocham bardzo lud śląski, boć i ja wywodzę się ze Śląska.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiej czci
sługa w Chrystusie

Ks. St. Marchewka

Kielce, dnia 8. III. 1933 r.“

Przytoczone powyżej fakty muszą napawać radością całą, wielką rodzinę Członków „Misji Wewnętrznej“ — i wiarą w ostateczne zwycięstwo jej i wszystkich i wszystkiego, co na jej gruncie pracują!

(s)

Spowiedź w wagonie.

Pociąg pociąg pociąg Gdańsk—Warszawa pedził szybko wśród nocy zimowej, wykapaniej w mleku śniegów i jakby namaszczonej złotawym blaskiem miesiąca.

Byłem w przedziale sam i nie mogłem zasnąć. Przysłoniwszy więc światło lampy, by sobie umożliwić widok na zewnątrz, zbliżyłem się do okna i na dłuższy przeciąg czasu pogrążyłem się cały w beztroską kontemplację. Coraz to inne okolice przewijały się przed moimi oczyma, nakształt obrazów żywego kalejdoskopu, przesuwanego ręką natury.

Pociąg zatrzymał się na krótko na jakiejś stacji i usłyszałem kroki na korytarzyku i drzwi mego przedziału rozwarły się z hałasem.

Wszedł jakiś wojskowy wyższego stopnia i widząc tylko księdza w przedziale, jak gdyby się zawahał.

— Proszę uprzejmie — rzekłem — cały przedział wolny.

— Dziękuję — mówił wchodząc i kładąc walizę podróżną na szaragach. Poczem przedstawił się.

— N. N. major wojsk polskich.

Podąłem rękę i wymieniłem swoje nazwisko.

— To ks. dobrodziej nie śpi? Poźna noc — zaczął.

— Powód niespania: zajmująca książka.

— A mógłbym wiedzieć tytuł tej książki?

— Służę najchętniej tytułem: Napisana po łacinie przed sześciuset laty: „Summa contra gentiles“.

— Księga przeciw poganom św. Tomasza.

Przekorny uśmiech zaigrał na wargach oficera.

— Księga przeciw poganom... W takim razie jest to książka przeciw mnie napisana.

— Co pan mówi, panie majorze! Pan, spodziewam się, chrześcijaninem i katolikiem, nie poganinem — zauważyłem tonem zdumienia.

— Katolikiem tak, o ile jestem ochrzczony i moje nazwisko figuruje w księgach parafjalnych. Ale siostra moja, która wciąż mi suszy głowę kwestjami religijnymi, nazywa mnie zapamiętałym poganinem. Co zresztą można uważać za prawdę, bo ja... nie wierzę...

Ostatnie słowa „nie wierzę“ wymówił zwolna i ciszej, dziwnym trochę w jego ustach mieśmiałym głosem. Jakby się obawiał wrażenia, jakie sprawi na mnie. Ale ja patrzyłem mu spokojnie w oczy i głosem równym, nie zdradzającym najmniejszego poruszenia, zagadnąłem go tylko krótko, poważnie.

— Dlaczego pan nie wierzy, panie majorze?

— Dlaczego ja nie wierzę? Właściwie ja wierzę, tylko inaczej... — odparł, jakby namyślając się nad odpowiedzią i spuścił wzrok ku ziemi.

Odniosłem wrażenie, że chciał uniknąć badawczego wejścia mych oczu. Po chwili podniósł wzrok na mnie i w oczach zabłyśło mu postanowienie: powiedzieć wszystko!

— Ja nie wierzę dlatego, bo mój ojciec również nie wierzył. Pochodzę z rodziny zamożnej. Posiadaliśmy dobra na Kresach właściwie na Podlasiu, potem dopiero przenieśliśmy się dalej. Przeprowadzka ta stała się naszym nieszczęściem, bo dziś majątek nasz — za kordonem bolszewji.

Mama moja była kobietą głęboko religijna, ale wyszła za mąż za Rosjanina. Najpierw z obopólnej miłości, a potem trochę dlatego, żeby ojca mojego nawrócić na katolicyzm. Kobiety są zawsze urodzonymi apostołami mężczyzn — i w złem i w dobrem.

Mama więc zastrzegła sobie przed ślubem, że dzieci chce wychować po katolicku i po polsku, a ojciec, zakochany po uszy, zgodził się na wszystko, choć sam pozostał nadal „prawosławnym“.

Dopóki byłem dzieckiem i młodym chłopcem, ulegałem mamie. Mówiłem pacierz regularnie rano i wieczór, myślałem wsłuchując się w jej dźwięczny, melodyjny głos, że tak samo przepowiadała modlitwy Marja Chrystusowi w Nazarecie i taki sam miała głos słodki. Jeździłem do kościoła z mamą i rodzeństwem. Byłem też oczywiście u pierwszej spowiedzi i Komunii świętej. Miejscowy proboszcz mię przygotował. — Ojciec nie przeszkadzał niczemu.

W parku naszym nad Bugiem wystawiono staraniem mamy i babuni śliczną statwę Niepokalanej. W maju wieczorami gromadziła się tam cała wieś i dworscy z „państwem“ na czele. Śpiewano litanję, mama odmawiała modlitwy. Potem wszyscy szli do domów jacyś bardzo rozradowani, podniesieni na duchu, — jakby każdy unosił z sobą część duszy Niepokalanej z tego „kościoła“ pod kopułą gwiazd i księżyca...

Ojciec nigdy nie chodził.

Kiedy już byłem w wieku szkolnym, zaczął mię uczyć. Otóż pewnego razu w maju lekcja przeciągnęła się nieco dłużej. Wszyscy już byli zebrani pod figurą i zaczęli śpiewać — brakło mnie. Ponieważ ojciec nie chodził, postanowiłem i ja raz nie pójść. —

Gdy byłem w swoim pokoju usłyszałem takie słowa ojca — który mówił sam do siebie, gdy patrzył na modlących się:

— Ot, dzieci, dzieci... Kiedyż wy zmadrzejecie? Co Panu Bogu po waszych modlitwach, śpiewach... Pies wyje do księżyca, oni do posągu... Każdy po swojemu chwali.

Te słowa ojca i inne utkwiły mi w pamięci na zawsze. Zdawało mi się, że nagle zrozumiał wiele rzeczy, które mi były zagadką. Mama naturalnie dała mi bure za nieobecność, ale ja poraz pierwszy zaapelowałem do powagi ojca.

Proszę papy, rzekłem cały w ognistych rumieńcach, ja... ja niedawno czytałem w katechizmie, że Pana Boga czcić należy w duchu i prawdzie... To poco nabożeństwa majowe? Świece świecić pod figurą?

Ojciec popatrzył na mnie zdumiony, skąd mi taka mądrość. Ale widziałem, że się nieznacznie uśmiechał pod wąsem.

— Zuch chłopak — rzekł jakby sam do siebie. Pozwalam ci nie chodzić na nabożeństwa. Zresztą lekcje wypadają w tym czasie, nie składa mi się kiedykolwiek, muszę być w polu.

A potem mówił do mamy.

— Proszę cię, droga, zmuszać dziecka nie wolno, kiedy samo nie chce. Można czcić Boga także inaczej. Uczciwym życiem i spełnianiem obowiązków.

Mama była tak wzruszona i czułem to, tak zboleła, że nie odrzekła ani słowa. Tylko jej oczy kochane wciąż patrzyły na mnie z wyrzutem, jakby chciały wyrwać w mem sercu na zawsze te słowa...

— Tyś powodem mej boleści i może śmierci przed czasem.

Ale nie zważałem na to w okrucieństwie triumfatora, czując, że mam ojca za sobą. Mama rzeczywiście niedługo potem przeziębila się jakoś i umarła. Nie byłem przy jej śmierci, choć podobno wołała mnie. Skutek lekkomyślności — zapędziłem się daleko na polowaniu.

Żal mi potem było samemu i ojciec surowo mnie skarcił.

— To był twój obowiązek — rzekł krótko. Nie dopisałeś. Taka nagana wystarczyła za wiele słów.

Wmiarę jak postępowałem w lata, między mną a ojcem zadzierzgały się coraz bliższe, coraz serdeczniejsze węzły. Czuł we mnie pojętnego i entuzjastycznego ucznia najgłębszych swych przekonań. Był bardzo dobry, przystępny dla każdego, ludzki, miękki jak kobieta i na niedolę czuły. Biednych wyszukiwał i wspierał. Lubiano go powszechnie. Choć ojciec niby w nic nie wierzył, to jednak Ewangelię Chrystusa nosił ciągle przy sobie i z zamiłowaniem odczytywał. Ja to samo robiłem i robię... To po nim pamiątka.

Tu wyjął pan major z kieszeni ślicznie oprawioną książkę. Na pierwszej stronie były wypisane słowa Tołstoja:

„Jako piaskę bezpiórę, wypadłe z gniazdeczka, tęskni wiecznie duszą nasza do Boga“...

Ojciec mój już od kilku lat nie żyje. Zglądziła go czerzyczajka. Przez jednego z lepszych katów zdołał ojciec przestać mi pożegnanie i bilet swój. Drżąc od kajdan ręką nakreślił mi słowa:

„Ukochanemu synowi z pożegnaniem. Bądź prawym! Ojciec“...

To mój skarb.

Wmyśl tej dewizy żyłem i dotąd żyję.

Tylko siostra wciąż mi udowadnia, że ja w nic nie wierzę i żyję po pogańsku...

Trzeba — mówi — spełniać obowiązki nie tylko wobec ludzi... Pilnujesz obowiązków... A gdzie obowiązki wobec Boga? Obowiązki religijne są tyleż i więcej warte, co obowiązki państwowe, społeczne... Jak dotąd jednak nie potrafiła mnie przekonać. Autor książki przeciw poganom, sądzą, pisze w guście mojej siostry. Ja tak nie wierze...

Skończył i pogrążył się w zadumie.

Czułem, że jako przedstawiciel „Kościoła“ będę musiał odpowiedzieć gruntownie i wyczerpująco na słyszane właśnie wywody. Gdy więc skończył opowiadanie, odezwałem się do niego.

— Proszę pana ! I siostra pańska i pan panie majorze, macie oboje po części słusność, a częściowo nie macie słusności.

— Tego trochę nie rozumiem...

— Bardzo poprostu. Siostra niesłusznie nazywa pana poganinem, gdyż i poganin wierzy, ale w setki Bogów. Pan wierzy w jednego Boga. Ale siostra w tem ma rację, że domaga się od pana wiary nie mglistej, rozchwianej, jak obłok w majowe rano, lecz wiary jasno określonej, wyraźnie skryształizowanej, zatem ujętej w pewne formy, jednolite kształty i ramy.

Powtórzył pan słowa Chrystusowe, że wiara, cześć Boga, powinna się ujawniać w duchu. Oczywiście. Tak samo, jak nauka. Pocóż więc wnosimy lokale szkolne, domy, sale, czytelnie, gimnazja, uniwersytety, akademje, — po co zaopatrujemy w globusy, mapy, gabinety fizyczne...? Przecież wiedza jest dla ducha. A więc podawać ją w duchu i prawdzie, a pozamykać szkoły, skreślić z budżetu państwa pensje dla nauczycielstwa. Po cóż ono? Na co ten sztab wiedzy? Na co przymus szkolny! Niech każdy sam zajmuje się wiedzą — w duchu i prawdzie!

Panie majorze, co by zostało z pańskich wierzeń osobistych, gdyby pan wierzył tylko „w ducha“, a nie czytał Piśma św., które pan stale z sobą nosi?

Gdyby społeczeństwu zabrakło wspólnych świąt, nabożeństw, kościołów, śpiewów, pochodów religijnych — słowem całego aparatu zewnętrznego, zwanego krótko liturgją — to zniknie faktycznie w społeczeństwie wiara. Zanadto się pan boi, zupełnie niesłusznie, wiary szerokiej, potężnej, zorganizowanej, rozlanej jak powietrze na wszystkie ludy i lądy.

— Ależ wiara musi być indywidualna — przerwał major.

— Panie majorze! Niech się pan, proszę, nie boi wiary, w jednym obejmującej kole ludzkość cała i Boga. Niech się pan nie lęka wspaniałego pałacu wiary. Niech pan nie

uchodzi z królewskiego domu, by się chępcie religijną beczką Diogenesa*). Indywidualną wyłącznie wiarą, jak wielu czyni... bo to ciasnota!

Chrystus posiadał wielką duszę i dał światu Kościół. I publiczne szafarstwo swoich łask Kościołowi tylko powierzył. Oczywiście, kropel rosy łaski swojej nie odmawia tym, co Go czca tylko indywidualnie, — ale nurty ogromnych źródeł miłosierdzia Pana, pochylającego się nad duszami, — te nie docierają do nich. Mam na myśli Sakramenta Kościoła... Spowiedź, Eucharystję...

— Spowiedź! podchwycił major triumfująco... To nie na dzisiejsze czasy! Mnie naprzykład nigdyby nikt do spowiedzi nie namówił...**)

Popatrzyłem na niego znacząco i powiedziałem z naciśnięciem.

— Pan się myli, majorze! Pan się już spowiadał, tylko nie otrzymał pan rozgrzeszenia.

— Jakto? Kiedy?

Przed chwilą — tu w wagonie. To była spowiedź. Zarysował mi Pan obecny stan duszy... Swoją stosunek do Boga, do bliźnich, do matki... Oby pan uznał, iż Bogu powinniśmy oddać nie tylko indywidualne tętna swego serca, swego życia, lecz i szerokie społeczne jego przejawy. Nie „naszą“ przedewszystkiem ma być forma naszej wiary — owszem i nasza — lecz na pierwszym planie boska, Chrystusowa... Przez to urośnie i wiara i dusza wyznawcy wiary. A pan zacieśniał wiarę, zabijał ją i w tem tkwi jedno zło pańskiej duszy, katechizmowy grzech. Należy go wykreślić z serca, na przyszłość postępować inaczej...

— Ach, mam także inne grzechy — względem ludzi — wyszeptał wzruszony. I tak czasem czuję, że krople rosy, posyłanej mi indywidualnie łaski nie wystarczą na ich obmycie. Potrzeba źródła wód... I jeśli to może być spowiedź, w takich warunkach, w wagonie, to czy mógłbym otrzymać rozgrzeszenie? Ksiądz już zna moją duszę.

— Mogę rozgrzeszyć pana — odrzekłem — jadę jako misjonarz...

Jeszcze kilka pytań, kilka serdecznych odpowiedzi i major pochylony, na kolanach otrzymał rozgrzeszenie.

Potem wyszedłem z przedziału, pozostawiając go na jakiś kwadrans samotnym.

*) Diogenes mieszkał w beczce zamiast w domu.

**) Kto chce mieć możliwie wyczerpujące wiadomości o spowiedzi z punktu i naukowego i religijnego, niech sobie przeczyta z książki p. t. „Golgota a życie dzisiejsze“ artykuł: Czy spowiedź to pogwałcenie praw natury człowieka? Książkę tę można nabyć w redakcji „Głosu Misji Wewnętrznej“. (Przyp. Redakcji.)

Gdym wrócił, rzucił się ku mnie z rozpromienioną twarzą i całując mi ręce z taką siłą, że o mało ich nie rozerwał, mówił do mnie...

— Zdroje wód, zdroje wód to były zaiste!... Jak ja podziękować zdołam księdzu...

— Zdroje wód wyniknęły z tego małego znaku krzyża i paru słów: Ja ciebie rozgrzeszam w Imię Chrystusowe.

Czułem gorące łzy na mych dłoniach...

A pociąg tymczasem mknął i huczał w blaskach nocy księżycowej.

- W jakiś tydzień potem wyczytałem nazwisko mego znajomego w jednym z dzienników, pomiędzy wypadkami dnia... Zginął w katastrofie automobilowej... Sprawdziłem nazwisko i wypadek. Tak, to był on... Z pod samochodu potrącanego wynieśli go... trupem... Pomyślałem, że mu się bardzo przydała spowiedź w wagonie.

Stanisław Janusz.

Czy przyjdą?

Prawo kościelne nakłada na każdego katolika obowiązek raz do roku i to właśnie około Wielkiej Nocy przystąpić do Sakramentu pokuty i przyjąć Komunię św. Kto tego nie wypełni tem samem skreśla siebie ze spisu członków żywych Kościoła i odbiera mu się prawo korzystania z pewnych Jego dobrodziejstw i łask.

Liczba tych, którzy lekceważą prawa i przepisy kościelne, w czasie powojennym wzrosła. Trudno znaleźć rodzinę, w której dalszy lub bliższy jej członek nie stoi jeśli już nie poza Kościołem — to jest w Nim tylko martwym członkiem.

Przez dłuższy czas nie stosując praktyk religijnych oswoili się ze swym stanem niewiary, zagłuszyli głos sumienia i zdaje im się, że wszystko jest dobrze i w porządku. Raz po raz powstanie w duszy lęk czy to na skutek uroczystości publicznych, to dzwonów kościelnych przy odprowadzaniu orszaku pogrzebowego na cmentarz, albo też podczas samotnego pobytu gdzieś, dokąd gwar i wrzawa wielkomięjska nie sięga... Ale... następuje natychmiastowe uciszenie głosu sumienia, głosu Bożego przez zmianę środowiska, wdanie się w towarzystwo, lub też zalewa się go trunkiem.

I trzeba wielkiej łaski i pomocy Bożej, aby przełamać upór trwania w złem i skruszyć zatwardziałe serce.

Kto będzie upraszał łaski i światła dla tych biednych grzeszników?... Komu to zadanie J. E. Ks. Biskup zlecił...?

Wam, członkowie Misji Wewnętrznej. Waszej trosce powierzył dusze błakające się w ciemnościach, abyście modlitwą i ofiarą przyprowadzili je do... Chrystusa.

Czy trudną jest rzeczą stanąć w rzędzie tych apostołów? Otóż nie. Wielu z Was są nimi już od dawna, a to mianowicie ci, którzy regularnie codziennie odmawiają modlitwę Misji Wewnętrznej i ofiarują swe przykrości każdego dnia za jedną duszę przez siebie obraną czy też ogólnie za niewierzących lub oziębłych w wierze katolików. Członkowie Misji Wewnętrznej! jeśli ktoś z Was dotychczas nie był żywym członkiem apostołstwa w Misji Wewnętrznej, ten niech od dziś stanie w jej szeregi, niech rozpocznie modlić się i ofiarować za błądzących w ciemnościach katolików i zupełnie niewierzących, abyśmy w możliwie największem gronie mogli oglądać Zmartwychwstanie Pana w duszach ludzkich.

Czy choroba to tylko nieszczęście?

Jest książka francuska dla chorych, stara książka, pod tytułem: „Dzień chorego“, napisana przez wielkiego przyjaciela Polaków-emigrantów ks. Henryka Perreyve. Na wstępie pisze on tak: „Pierwszą łaską, pierwszą korzyścią choroby jest to, że stawia człowieka w stan rekolekcyj; choroba daje to, co dają rekolekcje, skłania do myślenia o życiu, które jest życiem prawdziwym.“ Perreyve uważa więc, że sama choroba już jest nauką rekolekcyjną, że dni choroby to dni rekolekcyj, bo choroba każe myśleć o życiu, które jest prawdziwym życiem. W czasie rekolekcyj tych zwykłych, odprawianych w kościele, właśnie jednym z celów jest zwrócenie uwagi wiernych na pamięć o życiu prawdziwym, o życiu duszy, o życiu wiecznym, spojrzenie na życie doczesne w świetle wieczności. Gdy człowiek jest chory, wtedy myśli jego zwracają się nie tylko do życia doczesnego, cielesnego, ale i do tego, które jest i będzie poza niem.

Gdy człowiek jest zdrowy, mało myśli o Bogu, o sprawach wiecznych, o życiu pozagrobowem, bo myśli tylko o życiu dnia dzisiejszego. Czuje się silny, ma pełno różnych spraw i interesów. Ogarnia go często jakaś pycha, zarozumiałość, oszalecia go, upaja. Od rana już gorączkowo zabiera się do pracy. Prędko ubiera się, prędko, z pośpiechem zjada, wypija śniadanie, po drodze do pracy, do biura czyta gazetę, otrzymuje najnowsze wiadomości z życia, że spraw bieżących. Potem praca, biuro, fabryka, szkoła, rola, warsztat. Ruch, bieganie, załatwianie spraw i aktów. Życie pędzi szybko naprzód. Radio i telefony, telegramy i dzienniki łączą nas z życiem i nędzą całego świata, jakby nam naszej biedy za mało było. A to wszystko w hałasie i stukach maszyn, tramwajów, kolei, wśród okrzyków tłumu, rozgwaru wielkich miast. W tym wirze i dzieci biorą udział i starzy, wszyscy pełnemi żaglami płyną na bystrej fali życia, nie oglądając się ani przed

siebie, ani za siebie. Niema na to czasu poprostu. Tyle trosk i kłopotów przynosi z sobą każdy dzień. A gdy wreszcie zostanie trochę czasu, wtedy zabija się go jak potwora groźnego, zabija rozrywkami, szaleństwami, na które nawet nocy już zamało. Ciało bodaj podczas snu trochę odpocznie, ale dusza pełna wrażeń najrozmaitszych, nie uporządkowanych, nawet w czasie snu rwie się i szarpie w niezdrowych marzeniach i fantazjach.

Wóz życia unosi ze sobą wielu ludzi, jakby tych podróżnych uśpionych, nieświadomych celu i drogi, wiedzących tylko jedno: żyję, jadę dalej, więc dobrze, więc mogę spać. Pęd wozu usypia. Budzą się dopiero wtedy, gdy wóz zatrzymuje się na stacji, albo — na przeszkodzie. Gwałtowne nieraz i bardzo bolesne jest to przebudzenie — spada człowiek na ziemię, uderza się, otwiera oczy, błędnie wokoło spoziera. Czasem podróżny budzi się zapóźno, budzi się aż w wieczności.

Dlatego obudzenie człowieka, — nim umrze — uświadomienie go, otwarcie przed nim drogi do prawdy jest największym szczęściem. Przebudzenie, wytrzeźwienie zawczasu — oto szczęście, oto ratunek dla życia i doczesnego i wiecznego. Taki skutek u chrześcijanina-katolika może sprawić i sprawia także choroba. Opatrzność Boża wyrывa wtedy człowieka z tego straszego wiru, z tego zawrotnego wyścigu, z tych mętów i oparów nowoczesnego życia, wyrывa go, odstawia na brzeg, wynosi na powierzchnię, by odetchnął, wypoczął. Jak wielki nieraz potrzebny jest wysiłek, by kogoś uwikłanego w sidła świata i namiętności wyciągnąć i uratować! A oto choroba sprawia, że człowiek musi to wszystko zostawić, opuścić bodaj na jakiś czas.

Trzeba było nieraz bardzo wielkiej odwagi, by pójść przeciw temu nowoczesnemu prądowi, który mówiąc tyle o osobistej swobodzie każdemu należnej, zabiera równocześnie wszelką samodzielność ducha. Zajęcia, prace, interesy, które tak pożerały człowieka, pana czyniły swym sługą, teraz ustały. Hałas umilkł, zniknęła gra światła i barw, pozostała cisza samotności i białe, jednostajne ściany pokoju. Nastąpiła cisza pełna twórczej potęgi i mocy, działającej tylko w ciszy i pokoju. Ta cisza, za którą nadaremnie tylu ludzi dzisiaj wyciąga ręce. Ta cisza, do której tylu ludzi tęskni, by uratować swe nerwy, swój mózg, zdrowie, życie. Ta cisza, dla której już organizuje się osobne towarzystwa walki z hałasem, tworzy uniwersyteckie instytuty badania przyczyn hałasów i wynajdywania środków na nie. To wszystko tak bez trudu, bez zbytniego natężania się i wysiłku ma człowiek, gdy zachoruje, gdy w czasie choroby ma tyle dni i nocy cichych, spokojnych.

To osamotnienie chorego, ta cisza — to jego i Boga przyjaciele. Jego przyjaciele, dobroczyńcy, śmiem powiedzieć. Chory ma czas pomyśleć o przeszłości i przyszłości, chory ma

czas i możność krytycznie popatrzeć na świat i życie. Chory widzi, jak bardzo nie uzasadnioną była jego pycha życia i użycia, jak bardzo zanadto ufał tylko sobie, tylko swoim siłom i zdolnościom, jak bardzo przejmował się chwilowem niepowodzeniem i biedą, jak bardzo ufał tylko ziemi, jak miarami wszystko mierzył. Chory widzi, że słaby jest bardzo, słaby jak dziecię malutkie, i przypomina sobie lata dziecięce, gdy go ojciec i matka pieścili i strzegli i prowadzili za rączkę. Chory szuka mimowoli ręki dobrej, opiekuńczej, sięga w przestrzeń, wypatruje daleko, a tymczasem to tak blisko niego jest ta dobra, ojcowska ręka Bożej, matczynej Opatrzności, tylko ująć tę rękę! A jak mocno dziecko trzyma się ojca, tak mocno człowiek chwyta rękę, która go ratuje z topieli, która go chroni przed przepaścią!

Choroba jest przyjacielem, sprzymierzeńcem Boga. Tyle razy tak blisko był ten Bóg, tak blisko stał twego serca i pukał nadaremnie. Nie słyszałeś tego pukania, bo dom twego serca był zajęty. Cały harmider targowiska światowego szumnie i tłumnie w niem się przewalał. A Jezus stał u drzwi i pukał do serca. Czasem nawet, jak grzmot przed burzą, jak błyskawica zwiastująca piorun, grzmiało, jaśniało na horyzoncie życia potężne ostrzeżenie Boga i Jego Kościoła; nic to, byle dalej, byle prędzej, naprzód za nowością, za pieniądźmi, za interesem!

Choroba ratuje człowieka z tego nurtu straszego, jakim jest życie bez wiary, bez religii, bez Boga. Choroba oddaje człowieka Jezusowi, który tyle razy patrzył z boleścią na miotanego falami życia biedaka, słał mu wezwania, ratunek podawał. Wreszcie znajduje go chorego. Serce biedne, cierpiące, już dostępne, otwarte. To, co u wielu ludzi z trudem i mozolem osiąga się dopiero przez misje i kazania i rekolekcje, u chorego staje się łatwe przez chorobę. Budzi się wtedy myśl o życiu prawdziwym, budzi się wtedy dusza, otwiera się serce, człowiek zbliża się do Chrystusa. Chrystus przychodzi do człowieka. Drogi Boże i ludzkie zbiegają się wreszcie razem, następuje radosne powitanie dwóch przyjaciół, którzy od dawna do siebie tęsknili, siebie szukali. Orzeł bierze pisklę znękanę do swego gniazda, przyhołubia je, tuli pod skrzydła, ogrzewa ciepłem swego serca, swoją krwią serdeczną pożywia i karmi.

Pomyślcie o tem wszystkiem, drodzy Bracia, rozważcie, pomódlcie się, porozmawiajcie o tem ze swoją duszą i ze swym Bogiem!

Ks. Michał Rękas.

Redaktor: Ks. Józef Czernecki, Katowice.

Nakładem Kurji Diecezjalnej w Katowicach.

Druk: Księgarnia i Drukarnia Katolicka, Katowice, ul. M. Piłsudskiego 58.
Prenumerata roczna 3,60 zł. — **Redakcja: Katowice, ulica Marsz. Piłsudskiego 20.** — **Adminstracja: Katowice, ulica Marsz. Piłsudskiego 58.**

O czym mówiono na kursach Misji Wewnętrznej?

W „Dniach Misji Wewnętrznej“ uczestniczyli tylko członkowie Zarządów stowarzyszeń Misji Wewn. A chyba wszyscy członkowie M. W. są chciwi wiadomości o treści kursów — a myśli o M. W. zawarte w szeregu referatów wygłaszanych jeden po drugim nie zostały zapewne uporządkowane w głowach wszystkich słuchaczy i utrwalone. Ponieważ obowiązkiem uczestników jest zdać sprawozdanie z tych kursów na zebraniach członków i szerzyć pośród nich idee Misji Wewnętrznej, stąd Sekretariat uwzględnił i przewidział potrzebę zebrania główniejszych myśli z referatów i wydał je w specjalnej broszurce p. t. „**Apostolstwo w Misji Wewnętrznej**“. Zawiera ona praktyczne sposoby wprowadzenia w życie M. W., wskazówki, jak ma wyglądać każdy dzień członka Misji Wewnętrznej, materiał dla wytłumaczenia o niej innym prywatnie lub na zebraniach.

Cena broszurki wynosi 30 gr. Przy zamówieniu 10 egz. i wyżej Sekretariat udziela rabatu 5 gr od 1 egz. Zamówienia skierować pod adresem: Sekretariat Akcji Katolickiej i Misji Wewnętrznej, Katowice, ul. Marsz. Piłsudskiego 20.

Nie trzeba podkreślać, że ważną jest ta broszura przede wszystkim dla przewodniczących zrzeseń kościelnych i winni na pierwszym miejscu zamówić ją i dobrze się z nią zapoznać, a w miarę możliwości rozpowszechnić tę broszurę pośród członków.

Ze świata.

Krzyż ku upamiętnieniu Roku Jubileuszowego.

Ku upamiętnieniu rozpoczynającego się w kwietniu Roku Jubileuszowego zamierzone jest wzniesienie na górze Alwernji, gdzie św. Franciszek z Asyżu otrzymał stygmaty, wielkiego krucyfiksu żelaznego. Krzyż ten będzie oświetlony elektrycznością, przyczem poraz pierwszy oświetli go Ojciec św. drogą radjową, podobnie jak to uczynił Marconi, oświetlając statwę Chrystusa-Króla pod Rio de Janeiro.

Masowe nawrócenia w Indjach.

Z Bombaju donoszą, że ostatnio pociągnięty przykładem Mar Iwniosa, zgłosił chęć przystąpienia do Kościoła katolickiego jeszcze jeden biskup jakobicki wraz z 30 kapłanami i 20 tysiącami wiernych, posiadających około 100 parafij.

Ofiara cesarzowej japońskiej dla misyj katolickich.

Japońska cesarzowa-wdowa złożyła ostatnio poważną sumę pieniędzy na rzecz dwu katolickich zakładów dla trędowatych w Biwasaki pod Kumamoto i w Fotemba pod Tokio. Pierwszy z tych zakładów prowadzony jest przez SS. Franciszkanki Misjonarki Marji, drugi — przez Paryskie Misje Zagraniczne.

455.000 skautów-katolików na całym świecie.

Stosownie do wiadomości podanych przez dziennik angielski „The Universe“, ogółem istnieje na całej kuli ziemskiej 455.000 skautów-katolików. Liczba wszystkich harcerzy świata wynosi 2.112.000, a więc około 22 proc. jest katolików.

KATOLIKU!**KATOLICZKO!****Jak uczcisz 1900-ną roczn. Męki Pańskiej?****Przeczytaj i wchłoń ostatnią nowość!****Ks. Józef Czernecki:**

GOLGOTA

A ŻYCIE DZISIEJSZE

Nakładem Księgarni i Drukarni Katolickiej S. A. w Katowicach — 1933, Str. 277.

Krynica życiodajną dla duszy można nazwać książkę ks. Czerneckiego, świeżo wyłożoną na półki księgarskie.

Dzieło składa się z dwóch części: z właściwego opisu Męki Pańskiej i z szeregu pierwszorzędných rozpraw na najaktualniejsze tematy: „Czy Chrystyanizm się przeżył?” „Czy spowiedź to pogwałcenie praw natury człowieka?” „Poco cierpienie?” „Kryzys pracy, kryzys wлары” itd.

Obrazy Męki Pańskiej przesuwają się w dziele ks. Czerneckiego, niby na taśmie filmowej; przemawiają niezrównaną plastyką i żywością, a choć są obrazami tragedji, nie sprawiają wrażenia przygnębiającego, tylko każą duszy lkać słowami zawstydzającego wzruszenia: O Boże, czemuś sa nasze udreki codzienne wobec golgockich cierpień Boga-Człowieka i Odkupiciela rodzaju ludzkiego?... Czynniki wzruszeniowy w książce i jej obrazach jest zaiste potężny! Poza to autor posiada zadziwiająca zdolność rzucania obrazów Męki Pańskiej na tło czasów dzisiejszych z ich „blaskami i nędzami” — stąd też siła kontrastów jest w książce uderzająca i niezwykła. To zręczne narzucanie obrazów Golgoty na tło życia naszego sprawia wrażenie, jakoby Chrystus był gdzieś blisko nas. I tu dopiero książka osiąga swój cel: wprowadza w życie — stawia nam przed oczy duszy cierpiącą, a tak bezgranicznie dobrą i miłą Postać Syna Człowieczego, przedziwnie pociągająca do siebie i kojąca cierpienia duszy, choć tak okrutnie zelżona i umęczona. — Jakże często człowiek dzisiejszy podobny jest do tego motłochu żydowskiego, co ukrzyżował Chrystusa na wzgórzu Golgoty! Tylko, że wówczas gwoździe i młotek były narzędziami Męki Pańskiej, a dziś są niemi — grzechy nasze.

Odbywajmy z autorem pielgrzymkę duchową na Golgotę, a stąd ujrzymy dopiero niezrównane i niewysłowione w swym majestacie inne Szczyty Boże. Autor będzie nam w tej pielgrzymce przewodnikiem wytrawnym i niezawodnym. Nie pożałuje, kto przejdzie z nim po wzgórzu, z którego ramiona krzyża błogosławią światu po wsze czasy, jak błogosławiły mu ongi ręce Zbawiciela. Tam dopiero poznamy lekkość krzyżów naszych, nauczymy się nieść je cierpliwie i uświęcająco.

Wtedy autor, książka i czytelnik spełnią jedno wielkie i wspólne zadanie: odnawiać na ziemi gody duszy z Chrystusem.

Rozprawy, zawarte w części drugiej, uderzają nadzwyczajną wnikiwością autora w skomplikowane dziedziny i zagadnienia życia katolickiego, przemawiają trafnością spostrzeżeń i sądów, imponują odwagą stawiania sprawy. Język autora piękny i żywy jest jego wiernym pomocnikiem wszędzie tam, gdzie rzecz wielka i ważna wymaga ujęcia subtelnego i przekonywującego, a jednak przystępnego dla każdego czytelnika.

Literaturze religijnej naszych czasów przybyła rzecz ponad miarę dzisiejszości zakrojona; duszom zaś otworzył się ożywczy zdroj. Kto z niego czerpać będzie, duszę żywą i czułą w sobie odnajdzie. Na podobój dusz dla Ich Odkupiciela, idź książko, triumfalnie: błogosławieństwo Boże niech będzie z toba...

M. S.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i Administracji „Głosu Misji Wewnętrznej“.